

„A GDYBY TO BYŁO NASZE DZIECKO?”

Gdy Stella Zylbersztajn miała piętnaście lat, trafiła do getta w Łosicach, gdzie, jak mówi, została „antysemitką”. Uciekła w dniu likwidacji getta i przez dwa lata ukrywała się u 25 polskich rodzin. Po wojnie, dzięki jej staraniom, 23 Polaków otrzymało medale Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

– Rodzice nauczyli mnie rozumieć świat, ale nie nauczyli kochać – mówi Stella Zylbersztajn. Wewnętrzny głód wiedzy i głębokiej wiary był stale obecny w jej życiu. Rodzice Stelli byli ateistami. Ojciec sympatyzował z socjalistyczną partią Bund i wierzył, że w Rosji Stalina jest równość, sprawiedliwość i dobrobyt.

Rodzice wysłali córkę do najlepszej w Łodzi Szkoły Powszechnej im. Elizy Orzeszkowej – polskiej szkoły dla żydowskich dzieci. Nawet w święto Jom Kippur ojciec przyprowadził ją na lekcje. Nikt inny, poza Stellą, nie przyszedł.

– Czułam się Polką – mówi o latach nauki w szkole powszechnej. Była zaskoczona, gdy na łódzkiej ulicy starszy chłopak napadł ją słowami „parszywa Żydówka”. Odgryzła się ostro świetną polszczyzną, co wprawiło napastnika w konsternację.

Wychowywana przez ojca w szacunku do prawdy, pragnęła być do niego podobna. Czytając Konstytucję RP, zdziwiła się zapisem, że prezydentem Polski może być każdy obywatel bez względu na płeć i wyznanie, ale powinien złożyć przysięgę na Ewangelię. Podobną, krytyczną opinię miała też po sobotniej wizycie w księgarni. Sprzedawca, pobożny Żyd, wskazywał poszukiwane książki i prosił, aby pieniądze położyć na stole pod obrusem. W szabas religia zakazywała Żydom pracy.

Echa antysemitycznych zdarzeń lat trzydziestych w szkole im. Elizy Orzeszkowej odbierano bardzo aktywnie. Gdy na uczelniach pojawiło się getto ławkowe dla Żydów, wszyscy uczniowie na znak protestu cały dzień stali podczas lekcji. Ojciec Stelli uważał, że przejawy antysemityzmu są haniebne, ale twierdził również, że w pewnej mierze sami Żydzi byli temu winni, bo pozwalali sobie na nieuczciwość w interesach, które prowadzili z Polakami.

W Łosicach

Wybuch wojny zaskoczył wszystkich. „Silni, zwarci, gotowi” okazali się Niemcy. – Nie nawidziłam ich – wspomina Stella. Łódź przyłączono do Rzeszy, a z pobliskiego domu, gdzie był niemiecki komisariat, często dobiegały krzyki torturowanych ludzi. W listopadzie 1939 r. ojciec zdecydował się na ucieczkę do Związku Sowieckiego. Gdy przysłał list, Stella z matką pojechały do Sarnaków nad Bugiem i przez cały styczeń oczekiwały na przekroczenie granicy. – Wszyscy dookoła mówili po żydowsku, a ja nic nie rozumiałam – wspomina Stella.

W lutym 1940 r., gdy już przekonały się, że nie mają szans na przedostanie się przez granicę, pojechały do pobliskich Łosic. Żydzi stanowili w tym miasteczku większość. Mieszkał tam wujek Stelli, Alter Beckerman. Do jego karczmy przychodzili komuniści żydowscy,



Fot. z archiwum J. Rumika

W łosickim getcie

jej sąsiadka Władysława Piotrowska, gdyż Żydzi nie mogli podróżować. Czuła się tak pewnie, że raz pojechała bez dokumentów, przebrana za wieśniaczkę. Szpicel na dworcu wskazał ją Niemcom i wpadła. Na posterunku udawała, że nie rozumie pytań oficera o „legitymation”. Gdy Niemiec zmagął się ze sznurkiem na pakunku z mięsem, krzyknęła z tupetem: – Czego wy wreszcie ode mnie chcecie? Puścili ją.

W listopadzie 1941 r., będąc w Warszawie, wybrała się do getta, by odwiedzić rodzinę. Weszła przez dziurę w murze: podsadził ją policjant granatowy, a po drugiej stronie pomógł zeskoczyć policjant żydowski. Za pomoc zapłaciła po 20 zł.

Uderzyło ją przede wszystkim to, że ulice były pełne ludzi, którzy spacerowali bez celu. Prawie w każdej bramie leżał półnagi człowiek, opuchnięty z głodu. Widok kobiet jak patyki – zrobił na niej straszne wrażenie. Ciocia Estera, niegdyś tęga kobieta, była jak cień. Całą rodzinę utrzymywał czternastoletni Izio, który pracował fizycznie. On jeden miał pracę.

W kawiarni na Lesznie spotkała się z ciocią Zajdową, współwłaścicielką tego lokalu. Było elegancko i pogodnie. – Kandelabry z płonącymi świecami, ktoś grał tango na pianinie, kilka par tańczyło – opowiada Stella. Kelnerka podała kawę z pysznym sernikiem.

Gdy wracała z getta, zaczepił ją polski chłopak, który zażądał pieniędzy. Zapłaciła. Po powrocie do Łosic nikomu nie opowiedziała o tragedii warszawskiego getta. – Nie chciałam

wywołać paniki – tłumaczy Stella. Sama nie mogła spać, budziły ją koszmary. Słyszała jęki konających z głodu i taneczną muzykę. „Wydawało mi się, że tylko Żydzi mogą być tak obojętni na cierpienia swych braci” – napisała we wspomnieniach *A gdyby to było Wasze dziecko?*, dodając: „Niestety, różne wypadki w getcie (łosickim) potwierdzały to”.

Na początku 1942 r. przebywała w Łosicach grupa kilkunastu uciekinierów z warszawskiego getta. Wielu z nich



Fot. z archiwum J. Rumika

Likwidacja łosickiego getta – 22 VIII 1942 r.

zebrało w mieście i okolicy, co nie podobało się Judenratowi. Miejscowi przywódcy żydowsy uznali, że jest ich zbyt dużo i poprosili Niemców, aby ich wygonili. – Żebracy stali pod łaźnią, a naprzeciw nich milczący członkowie Judenratu – opowiada Stella. Znajomy Stelli, nosiwoda Abram, poprosił ją, by zaopiekowała się trójką jego dzieci. Abram zmarł, podobnie jak inni wypędzeni, w czasie forsownego marszu do Warszawy.

Łosiccy Żydzi wrogo odnosili się do rodaków, którzy lekceważyli tradycję. Gdy więc w jedną z sobót Stella wyszła po wodę do studni na rynku, osaczyło ją ze dwudziestu ortodoksyjnych żydów w chałatach. Przeklinali dziewczynę, „że pracuje w sobotę i nie mówi po żydowsku”. Przeklinali też jej ojca, „że taką gojkę wychował”. – Wróciłam do domu rozdygotana, pełna wstępu do nich – wspomina. Ale zapamiętała również to, że krzyknęła na nich, iż nie mają prawa wtrącać się do niej i jej ojca.

Czytając różne książki, natrafiła na biografię syjonisty Teodora Herzla. O książce tej dużo rozmawiała z mamą, która pewnego razu powiedziała, że po wojnie Stella też wyjedzie do Palestyny. – To, że opętany Hitler wsadził mnie do getta, nie czyni mnie Żydówką. Czuję się Polką – oponowała w myślach, nie chcąc sprawić przykrości kochanej matce.

Stella coraz bardziej odczuwała głód wiary. „Namiętnie zaczęłam szukać Boga. Wiedziałam, że nie znajdę go u Żydów. Ich sposób praktykowania religii odpychał mnie. Pragnęłam być ochrzczona, choć przypuszczałam, że Żydzi mnie za to ukamienują” – zapisała we wspomnieniach.

Gdy wiosną rozpoczęły się wywózki z warszawskiego getta do Treblinki, łosickim Żydom zakazano korzystania z poczty. Letnie dni przyniosły złudny spokój – do soboty, 22 sierpnia 1942 r.

– Obudziłam się o godz. 3 w nocy – opowiada Stella. Na rynku stało kilku policjantów. Potem przyszedł kuzyn Nehemia, który był w policji żydowskiej. Kazał wziąć osobiste rzeczy i zgromadzić się na rynku. Kilka tysięcy Żydów było strzeżonych przez prawie pięćdziesięciu Niemców.

– Wiedziałam, że ucieknę. Kiedy kobiety i dzieci wsiadały na wozy, ja popędziłam uliczką do ogrodu Piotrowskich. Mama bała się, strach ją sparaliżował – mówi Stella.

Tułaczka

Ukryła się w wysokich łąpianach. Leżała, nasłuchując strzałów z pobliskiego rynku. Około godz. 15 kolumna Żydów, eskortowana przez Niemców i żydowską policję, opuściła miasto. Wieczorem pani Piotrowska przyniosła jedzenie. Pierwszą noc Stella spędziła w pobliskim Świniarowie u znajomych gospodarzy – Śmieciuchów. Po śniadaniu poszła do Wyczótek. W drodze zaczął ją nieznajomy mężczyzna, który zaproponował schronienie w swojej stodole. Był to Wacław Radzikowski z Szańkowa.

– Nie wiedziałam, że na niedzielnym kazaniu ksiądz wspomniał o ciężkim losie Żydów – mówi Stella.

U Radzikowskich czuła się bezpiecznie. Miała świadomość, że każdy dzień jest darem, a gospodarz naraża całą swoją rodzinę na rozstrzelanie. Wstawała już o godz. 4 rano, aby pomagać w domu i robić na drutach, młodsze dzieci uczyła czytać. Do nauki służył katechizm, jedyna książka w domu. Gdy trafił w jej ręce, przeczytała go jednym tchem.

Spokój trwał trzy tygodnie. W nocy, 14 września, Stella uciekła, słysząc strzały na podwórku. Noc spędziła w lesie, a rano przekradła się do Wyczótek, do sołtysa Hieronima Kalkickiego. Okazało się, że w nocy wystraszyli ją złodzieje, którzy przyszli do Radzikowskich kraść świnie. Strzelali do psa, który szczekał na napastników.

– Aniela Kalicka przyjęła mnie jak własną córkę. Obiad na białym obrusie i łóżko z pościelą, to była rozkosz – wspomina Stella.

Sołtys Kalicki odnalazł matkę Stelli i sprowadził ją do Wyczółek. Była w tzw. małym getcie w Łosicach. Zdołała uciec z kolumny maszerującej do Siedlec, potem szukała córki w okolicznych wioskach.

– Na przywitanie popłakałyśmy się – opowiada Stella. Za radą matki utleniła włosy i zaczęła chodzić do kościoła. Oficjalnie była Polką z Łodzi, ale ludzie zaczęli plotkować i w listopadzie postanowiła odejść. Kalicki przygotował pożegnalną kolację, na której pojawił się gestapowiec z kochanką. Przejeżdżał i wstąpił do sołtysa. Stella uciekła do kuchni, ale gdy Niemiec sobie podpił, wyciągnął ją do tańca. – Był pijany, nie rozpoznał mnie – mówi Stella.

Po rozstaniu z Kalickimi, Stella trafiła do wsi Bolesty, gdzie zatrzymali ją granatowi policjanci, Parzyszek i Rutkowski. Uratowała ją złota pięciorublówka. – Jesteś siostrzenicą Beckermana, ale masz dobry polski akcent, idź dalej, gdzie cię nie znają – poradzili policjanci, sugerując, aby podawała się za uciekinierkę z Zamojszczyzny.

– Chodziłam po wioskach, szukając pracy – wspomina Stella. W zimowy wieczór zapukała do domu Izdebskich, którzy okazali się niezwykle serdeczni. Mieli jedną izbę, której połowę zajmowały zwierzęta, trójka bosych dzieci spała na zapiecku.

– Traktowali mnie jak rodzinę – mówi Stella, ale czuła z każdym dniem ich rosnący strach. Po dwóch tygodniach pożegnała się z nimi, a Izdebski odwiózł ją do kuzyna w Krzesku. Potem znowu była w Szańkowie u Kazimierza Gałęckiego, szwagra Radzikowskiego. Spotkała się z matką, jak się okazało, po raz ostatni. W marcu 1943 r. matkę Stelli wydał syn leśnika w Bolestach. Była bita, ale nie zdradziła, kto ją przechowywał. Niemcy rozstrzelali ją na kirkucie.

Chrzest

Stella wędrowała po wioskach. – U jednych byłam noc, u innych mieszkałam kilka tygodni – opowiada. Jesienią 1943 r. trafiła do Mariana Piechowicza w Kornicy pod Siedlcami. Gospodarstwo leżało na uboczu, pod lasem. Gdy Piechowicz zobaczył Stellę, przestraszył się. Jego żona Lucyna była spokojna. – A gdyby to było nasze dziecko? – zapytała męża.

Stella pomagała w domu i uczyła dzieci czytać, pisać oraz pacierza. Miała swój pokój i czas dla siebie. W niedzielę chodziła do kościoła do Radzikowa. Nie знаła liturgii, dlatego stała na chórze. Gdy po kilku miesiącach ludzie zaczęli szeptać, że u Piechowiczów mieszka Żydówka, opowiedziała o tym wikaremu, ks. Czesławowi Chojeckiemu. W najbliższą niedzielę proboszcz Zygmunt Wachulak powiedział w czasie kazania: – Gdy wam każą wydawać Żydów, nie wolno wam tego czynić, bo mają te same nieśmiertelne dusze. Musicie im pomóc, dać żywność, odzież i przenocować.

Na wsi przestali gadać i znowu czuła się bezpiecznie. Sąsiad Czesław Gorzała zaprosił ją na rekolekcje wielkopostne, które głosił marianin z Warszawy, ks. Henryk Suleja. – Piekło to jest stan duszy, która wie, że Bóg jest, ale nie może Go kochać – usłyszała.

– Tak właśnie czułam się w getcie w Łosicach, byłam „głodna” Boga – mówi Stella. Po Mszy podeszła do rekolekcjonisty i poprosiła go o chrzest. Ksiądz Suleja skierował Stellę do proboszcza. Przez ponad miesiąc przygotowywała się do chrztu. Przyjęła go w zamkniętym kościele po Mszy św. w sobotę przed Zielonymi Świątkami.

– Z ks. Chojeckim i rodzicami chrzestnymi było nas czworo – uśmiecha się Stella. Niemcy odeszli w połowie lipca 1944 r. Akurat do Piechowiczów przyjechali goście, więc Stella poszła spać do stodoły, na siano. Gdy obudziła się rano, na klepisku pokotem spali czerwonoarmiści.

Biały Hermon

Hajfa, ciepłe popołudnie, rozmawiam ze Stellą na balkonie jej domku. – W Polsce odnalazłam Boga, a tutaj, w Izraelu, swoje miejsce na ziemi – mówi szczupła, niska kobieta. Ma 82 lata. Z balkonu widać portową zatokę oraz Galileę. Przy dobrej widoczności można dostrzec Akkę i ośnieżony Hermon na libańskiej granicy. Oglądamy zachód słońca i jednocześnie rozmawiamy.

Stella zdała maturę w 1945 r. Ponieważ kiedyś przeczytała *Dzieje duszy św. Teresy od Dzieciątka Jezus*, która stała się dla niej duchowym przewodnikiem, postanowiła wstąpić do klasztoru karmelitanek bosych w Poznaniu. W szóstą rocznicę likwidacji getta w Łosicach, 22 sierpnia 1948 r., włożyła habit zakonny.

W Karmelu czuła się szczęśliwa. Pracowała, modliła się i czytała. Szczególnie pasjonował ją Stary Testament, przedstawiający m.in. dzieje narodu wybranego. Poznała też o Daniela, Żyda, który działał w ruchu oporu, potem ochrzcił się i wstąpił do karmelitów. Był znanym i szanowanym kapłanem, na jego kazania przychodziły tłumy ludzi. Gdy w latach pięćdziesiątych wyjechał do Izraela, zaskarżył w Sądzie Najwyższym ministra, który odmówił mu przyznania obywatelstwa. Przysługiwało ono, zgodnie z prawem powrotu, każdemu Żydowi. Zakonnik przegrał, otrzymał obywatelstwo, ale bez wpisu „Żyd”. W Polsce i Izraelu było o tym głośno.

– Decyzję podjęłam szybko – mówi Stella. Sprawcą był ks. Edward Szymanek, który po pielgrzymce w Izraelu namówił ją, aby powróciła do „krajów ojców”. Szybko otrzymała wizę, ale musiała zrzec się polskiego obywatelstwa. – Plakałam, gdy wyszłam na ulicę – wspomina Stella.

W 1969 r. była już w Izraelu. Zwiedzając Ziemię Świętą, zapragnęła poznać język przodków. W betlejemskim Karmelu bezskutecznie prosiła o. generała karmelitów o możliwość wychodzenia do szkoły na lekcje hebrajskiego. Potem była w Hajfie, gdzie wszystkie siostry zakonne mówiły po francusku. – Dlaczego śpiewamy psalmy po łacinie, a nie w języku Dawida? – dziwiła się głośno, gorsząc niektóre siostry. Po dwóch latach pobytu w klasztorze w Hajfie poprosiła o zgodę na wystąpienie z zakonu.

Konsulat w Hajfie

– Początki świeckiego życia były trudne. W Karmelu spędziłam 24 lata – tłumaczy Stella.

Podjęła pracę jako pielęgniarka w domu opieki społecznej. Rozpoczęła też naukę hebrajskiego, studiując zarazem filozofię i historię Bliskiego Wschodu. Zakupem domku na Neve Joseph, dzielnicy biedoty i prostytutek, zaskoczyła nawet swoich przyjaciół. Gdy zaś arabscy studenci zostali jej lokatorami, sąsiedzi Żydzi byli przerażeni. Ale po roku–dwóch przestali się bać.

– Pytali, czy nie mam dla nich lokatorów? – opowiada Stella.

Aziz poznał Stellę w 1983 r. w osadzie Neve Shalom (Oaza Pokoju), stworzonej przez dominikanów dla rodzin żydowskich i arabskich. Był, podobnie jak Stella, wolontariuszem.



Fot. M. Jerzman

Pod drzewkiem Wacława Radzikowskiego w Yad Vashem. Od prawej: wnuczka Krystyna Radzikowska, Stella Zylbersztajn i prawnuk Waldemar Miłkowski (sierpień 2001 r.)

Studiował wtedy socjologię i został pierwszym lokatorem Stelli. Po nim pojawili się nowi lokatorzy. – Przygarniała bezdomnych, Arabów, narkomanów – mówi Aziz, obecnie menedżer personalny szpitala Karmel w Hajfie.

Gdy po 1989 r. w Hajfie pojawiła się fala Polaków, Stella pomogła wielu z nich. Po miesiącu poszła fama, że jest Stella, która wszystkim załatwia pracę. Także w polskiej ambasadzie w Tel Awiwie mówiono, że u Stelli w Hajfie jest polski konsulat.

Piątek jest dla Stelli dniem szczególnym. Od wielu lat, w południe, pod ogrodami Bahajów, pikietuje razem z „Kobietami w czerni”, czyli pacyfistyczną organizacją, skupiającą Arabki i Żydówki. Pikietujące kobiety obrzucano arabskimi przekleństwami lub hebrajskimi wyzwiskami.

– To przeszłość, dzisiaj ludzie pragną pokoju – uśmiecha się Stella.

Również w każdy piątek, po powrocie do domu rozpoczyna przygotowania do szabasowej wieczerzy. Po modlitwie łąmie się macą z gośćmi i pije wino ze wspólnego kielicha. W sobotę Stella wybiera się na modlitwę do pobliskiej synagogi, a w niedzielę na Mszę św. do „Domu chleba”, kaplicy hebrajskich chrześcijan.

– Jesteśmy Żydami żyjącymi zgodnie z nauką Jezusa. Od 2003 r. mamy swojego biskupa, Jeana Baptiste Gouriona – mówi Stella.

Nasza Żydóweczka

Pod koniec lat siedemdziesiątych spisała historię swojego ocalenia, aby Yad Vashem uhonorował medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata tych, którzy jej pomagali w czasie wojny. Pierwszy wniosek, dotyczący proboszcza Wachulaka, odrzucono. – On nie przechowywał, tylko pomógł – stwierdził notariusz Bronowski.

Pierwszymi Sprawiedliwymi Stelli zostali – w 1981 r. – Aniela Kalicka i Waław Radzikowski. Potem byli kolejni: Irena i Ezechiel Romaniuk, Halina i Zygmunt Ługowscy, Józefa i Andrzej Zdanowscy oraz syn Stanisław, Rozalia i Franciszek Wielgórscy, Józefa i Jan Ułasiuk, Janina i Stanisław Mróz, Władysława Piotrowska, Helena Kaźmierczak-Gruszka, Lucyna i Marian Piechowicz, Józefa i Józef Zbucki, Anna Radzikowska i jako ostatnia – Wacława Jezierska, która została odznaczona w 1994 r. Razem 23 osoby.

– To nie wszyscy, którzy mnie ukrywali – podkreśla Stella. Jej próby uhonorowania kolejnych osób zostały wyhamowane. – To znowu pani? – słyszała często w Yad Vashem. Pracownicy Yad Vashem nie kryli sceptycyzmu co do liczby osób ratujących Stellę. – Jakie ma pani motywacje, składając ciągle nowe wnioski? – pytał Mordechaj Paldiel, dyrektor Działu Sprawiedliwych.

Pierwszy raz odwiedziła Polskę w 1987 r. Odszukała swoich dawnych przyjaciół. – Cieszyli się, jakby wrócił ktoś z ich rodziny – mówi Stella. Halina Ługowska rozplakała się: – Moja ty Żydóweczko!

W Radzikowie podczas Mszy w intencji Czesława Gorzały nowy proboszcz poprosił ją, aby przedstawiła się młodym parafianom. Zaprosił też na kolację.

Odwiedziła córkę Waław Radzikowskiego, który opiekował się Stellą przez kilka tygodni. Okazało się, że w bunkrze pod oborą Radzikowski ukrywał przez ponad rok czterech Żydów. Przeżyli.

Zapraszała do Hajfy swoich Sprawiedliwych, ich dzieci i wnuki, pokazując Ziemię Świętą. W 1992 r. wzięła do ręki pióro i napisała wspomnienia *A gdyby to było Wasze dziecko?*. Przedstawiła listę ok. 25 rodzin, które ją przechowywały. Przyznaje, że wszystkich, którzy ją uratowali, już nie pamięta.